Nr. 19 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 października 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, danicle - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

V. Pomorska Wystawa drobiu, gołębi, królików, psów i zwierząt futerkowych odbędzie się w Toruniu w czasie od 8 do 12 listopada 1930. Z Wystawą będzie połączona sprzedaż drobiu, królików, psów i zwierząt futerkowych.

TREŚĆ NUMERU 19:

Nr. 19 We Lwowie, 1 października 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Przypominamy Myśliwym naszym, że według rozporządzeń Województw małopolskich czas ochrony na zające przedłużony został w tym roku do 1 listopada.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI (z teki pośmiertnej)

Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885-1917

(Ciąg dalszy)

Jednem z nader ciekawych widowisk są zimowe orle polowania na zające lub lisy, na otwartych równinach stepów. Gdy w końcu listopada lub w początku grudnia zadmą północne wiatry, zasypią pola białą powłoką śniegów, a inwentarze pozbawione odnośnego karmu powrócą do zagród na zimowe leże, wszelki drapieżny dwu i czworonóg w braku łatwego pokarmu, jaki mu dostarczało bydlęce padło w poszukiwaniu wyżywienia staje się więcej ruchliwym, drapieżnym, odważnym, a mniej bacznym na własne niebezpieczeństwo. Szczególnie jastrzębia i orła można było łatwo spotkać wszędzie w tym czasie.

W chmurny dzień wyłaniał się on nagle z gęstej mgły, jak zjawa, w mglisty poranek przeciągał nisko nad stepem. Oto nad polem, wysokiemi burzanami i puszystą tyrsą pokrytem, płynie w powietrzu czarny skrzydlaty rabuś-orzeł. Zatacza ciągłe kręgi, to unosi się wyżej, na mgnienie oka zatrzymuje się w locie, upatruje zdobyczy, a dojrzawszy ową ofiarę, jak czarna kula ze złożonemi skrzydłami uderza na nią. Lecz daremny cios, czujny szaraczek długiemi uszkami dosłyszał szum lotu napastnika i szybkim skokiem wysunął się z kotliny, pomykając żwawo ku niedalekim zaroślom.

Orzeł chybiwszy ciosu, wzbija się ponownie w wyżyny i uderza powtórnie. Zając nie nowicjusz, gracz stary widocznie, zwinnemi, szybkiemi jak błyskawica zwrotami i tym razem zmyla uderzenie orła i salwuje się krzewami, zasłaniającemi go od dalszych ataków napastnika. Teraz całą wściekłość orzeł zwraca na mego psa, biegnącego śladem umykającego zająca. Naciera tak często i gwałtownie, iż biedny kundys musi szczekaniem i szczerzeniem kłów odbijać ataki natarczywego rabusia. Mądra psina tak podprowadziła mi niejednego rabusia pod lufę. Inaczej ma się walka o życie zająca, gdy go napadają równocześnie dwa orły. Gdy pierwszy chybi ciosu, inny już przygotowany do nowego uderzenia, a gdy zręczne zwierzątko i tym razem uminęło ciosu, czeka już pierwszy w pogotowiu na swą zdobycz. Nie pomogą tu fortele, zręczności i przebiegłości biednego szaraka, staje się on zwykle w takich razach nieszczęsną ofiarą. Teraz inna rozpoczyna się walka o byt i istnienie i o zdobyty kęsek pożywienia. Orły uderzają o sie-

bie, drą się pazurami aż się pierze sypie dokoła walczących. Zwyciężony siada opodal — zwycięzca ucztuje.

Obserwowałem razy kilka walkę lisa z orłem. Na myszkującego na roli liska napadł birkut. Lis jak strzała puścił się ku niedalekim wyrwom deszczowym — orzeł starał się przeciąć mu drogę. Zwierzątko chytre i zmyślne tak zręcznie uderzało w bok, udaremniając ptakowi atak, to podstawiając mu swój puszysty ogon, lub skacząc ku napastnikowi. Tak lawirując, szczęśliwie dobiegł do głębokiej wyrwy, gdzie na jej dnie, skrzydlaty rabuś nic mu już zrobić nie mógł.

* *
*

Jeden z mych sąsiadów myśliwych p. Martynowicz z Iwanowki, zaprosił mnie na zające, robiące mu zniszczenie w czasie mrozów w szkółkach owocowych. Po spolowaniu jego i sąsiednich zarośli nad Teligułem, przeszliśmy w pobliskie pola za wsią. Przekraczając pagórek, z jego szczytu ujrzeliśmy kupę ptactwa, wron, srok, jastrzębi i kruków, którą rozbijał i rozpędzał łamignat białoogonowy. Młody myśliwy udał się w tę stronę, ja poszedłem w inną. Wkrótce posłyszałem dublet i krzyki mnie wzywające. Za parę chwil stanąłem na wzgórzu, skąd uderzył mnie straszny widok. W głębokiem zagięciu szerokiego szlaku z miasta żydowskiego wiodącego, na przestrzeni kilkudziesięciu kroków, śnieg był mocno zdeptany, krwią i posoką zlany, łachmanami zarzucony, a na środku drogi leżał czerwony szkielet świeżo objedzonego człowieka. Twarz ogryziona, głowa oszkalpowana, wnętrzności wyjedzone, piersi, żebra odarte, udo do kolan ogryzione i jedna ręka po ramię oderwana. Nogi od kolan w butach całe. Jaką straszną walkę ten biedak stoczyć musiał z wilkami, świadczyły kawały długiego kija pogryzione i połamane, torba z żywnością poszarpana i podarta odzież w strzępy. Jak sprawdziliśmy, trójka wilków przeprowadzała nieszczęśliwego człowieka kilka wiorst drogi na równym stepie i dopiero gdy widocznie zmęczony wszedłszy w jar, słaby dawał już opór i uległ przemocy. — P. M. prosił mnie o wypchanie zabitego orła, lecz odmówiłem — nigdybym nie dotknął objedzonego ludzkiem mięsem ptaka.

Dwa szpetne pudła.

W bliskiem sąsiedztwie od mej kawalerskiej siedziby Strukowieckiej, bo zaledwie o 15 wiorst drogi leżał 50 włókowy majątek Olgówka, właścicielki panny K. „Wart pałac Paca a Pac pałaca“. Można to powiedzieć i o Olgowie i jej posiadaczce. Fortuna była piękna, dostatek i porządek widniał wszędy, a p. K. była młoda, powabna, o miłej twarzy śniadawej, wielkich karych, ognistych źrenicach, o kruczych, falistych sutych warkoczach, aksamitnych rzęsach i brwiach, o różowych soczystych usteczkach, wyniosłej kibici i ponętnych wydatnych formach niewieścich. Żywa, wesoła, beztroska, była lubianą i pożądaną w sąsiedztwie i od pierwszej chwili przypadliśmy sobie jakoś do gustu, a wspólne nasze upodobania konnej jazdy, chciwość polowań, dalekich samotnych wycieczek w stepy, szybko zbliżyły nas z sobą. — Wkrótce stałem się częstym gościem w domu pięknej Serbki, a i ona niekiedy jak płomieniejący meteor, zjawiała się pod mą strzechą na swym spienionym karoszu w chwili, gdy najmniej tego mogłem się spodziewać. Taką już była porywczą. Najmilszem jednak miejscem naszego spotykania się, był step daleki, pusty i ustronny. Tam wolni jak sokoły, młodzi, pełni życia i energji, szliśmy na wyścigi z wichrami, szczwaliśmy złotawe liszki, ścigali pardwy i dropie, lub zapadaliśmy się w zieleni wysokich traw, jak fale morskie, złudnie nas kołyszące i upajające. — Godzinami wsłuchiwaliśmy się w świergot ptaszyn, chrzęst robactwa polnego, w szelest motyli i owadów, ćwierkanie koników, kwilenie orłów, terkot strepetów, wchłaniając w piersi balsamiczną wonność traw i kwiecia stepowego.

Pewnego czerwcowego poranku zjechaliśmy się na oznaczonem miejscu. Piękna Serbka wydała mi się w porannej zorzy jakąś jeszcze piękniejszą, słodszą. — Była jednak cokolwiek inną, jej wesołość zdradzała jakaś nerwowość, co objawiało się w podnieconem prowadzeniu karosza, często karanego szpicrutą i ostrogą. Tego dnia szaleliśmy jeszcze więcej — konie po kilku godzinach zaczęły odmawiać nam biegu, musieliśmy pomyśleć o wytchnieniu i wypoczynku dla koni. Zbliżyliśmy się do jakichś zarośli, naszytych w rozwidleniu dwóch głębokich jarów. Wabiła nas świeża zieloność dębów i miły chłód w ich cieniu. Skręciliśmy i po chwili rozsiodłane konie skubały młodocianą trawkę, my zaś rozkoszowaliśmy się chłodnym wietrzykiem, pieszczącym nasze zmęczone i spieczone ciało. Staliśmy już sporą chwilę obok siebie w milczeniu, gdy ma piękna towarzyszka, położywszy swą rękę na mem ramieniu zwróciła twarzyczkę na mnie. Zadrżałem pod jej spojrzeniem. Te wielkie czarne oczy jeszcze stały się większemi, bił jakiś blask od nich niezwykły. Oblicze jakaś bladość pokryła, a usteczka rozchylone jakby na uścisk czekały. Objąłem uroczą kibić i przygarnąłem ją do mej piersi, a usta nasze spoił długi serdeczny uścisk. Nie broniła się, drżała tylko jak w febrze. Nie wiem jak długo i dokąd poniósłby nas ten ognisty uścisk, gdyby nie nagłe, żałosne kwilenie orła rozdarło niebiańską ciszę. Towarzyszka bezwładnie usunęła się na miękką murawę ja zaś chwyciłem broń tuż stojącą pod dębem i pobiegłem ku kwilącemu ciągle orłowi.

Zwartość zarośli, spadzistość jaru nie prędko pozwoliły mi odnaleść gniazdo orła, a gdym je wreszcie odkrył i siedzącego nad nim orła zobaczył, strzeliłem na 30 kroków jak do tarczy, orzeł najzdrowszy uleciał, a ja raźnie ile sił w nogach i tchu w piersiach starczyło, powracałem do pięknej Serbki. Jeszcze byłem w zaroślach, gdy tętent galopującego konia doszedł mych uszu, a gdym wyjrzał na step, ujrzałem długi kędzierzawy warkocz lekkiego pyłu, wlokącego się śladami galopującej Panny K.

Na szyi mego Dońca widniała świeża pręga od cięcia szpicruty obrażonej kobiety. Teraz dopiero pojąłem niewłaściwość mego postępowania i jak bardzo obraziłem dumę kobiety, lecz o tłumaczeniu jak i przebaczeniu było darmo myśleć. Niestety nie raz jeszcze namiętność myśliwska brała górę nad wszelkiemi innemi umiłowaniami i zabawami.

* * *

Półwiekowe niemal przebywanie me w pustynnych przestrzeniach stepów południowej Rosji, w górskich rejonach środkowej Azji i w ponurych jej dalekich pustyniach w ciągłem obcowaniu z naturą, dawało mi sposobność częstego przyjrzenia się życiu i zwyczajom różnych stworzeń, poznania ich sympatji wzajemnej lub wrogiego ich stosunku do siebie w ich współżyciu. Główną jednak uwagę mą zajmowały wielkie skrzydlate ptaki drapieżne, orły i sępy. Obserwacje tych olbrzymów ptasich w ich rodzinnych górskich rejonach, mało dostępnych dla widza, nie dawały mi dostatecznej wiedzy, były osłonięte zawsze pewną tajemnicą; dopiero współżycie ich na otwartych równinach naszych stepów, w czasie długiego lata w każdym roku pozwalało mi bliżej przypatrzeć się wzajemnemu ich stosunkowi przyjaźni lub nienawiści.

Odwiedzające corocznie stada sępów i gryfów nasze stepy a zjawiające się w połowie kwietnia, bądź to w małych grupach, bądź w ogromnych stadach, składały się przeważnie z samców, bezpłodnych matek i młodzieży dorastającej. Przyczyną opuszczania swych rodzinnych stron w czasie lęgów, pozostawiania samym matkom wylęganie, wyżywienie i wychowanie młodych piskląt, mogła być tak dobrze konieczność wyszukania sobie i innym potrzebnego karmu, jak niemniej potrzeba ułatwienia samicom zdobycia pokarmu dla żarłocznego potomstwa młodego. Tego dociec nie mogłem i nadal pozostało to dla mnie tajemnicą.

Z nalotem sępów na otwarte płaszczyzny zauważyć się dawała większa ilość w tych miejscowościach orłów. Czy to grupie z kilku osobników złożonej, czy też stadu z kilkudziesięciu głów złożonem, towarzyszył zawsze orzeł lub ich kilka, trzymających się zawsze jednak w pewnej odległości, nawet w uczcie ogólnej nie biorących udziału. Oto tabun grabarzy po długim namyśle otacza ciasnem kołem cuchnącego trupa, drą jego martwe ścierwo, trzask łamanych gnatów rozlega się wyraźnie, a siedzący z dala orzeł spokojnie obserwuje wstrętną ucztę. Nagle jakiś osobnik sępi odchodzi z kawałem mięsa w dziobie na stronę, by pożreć go w spokoju. Nie zdążył jednak oddalić się daleko, gdy tuż nad nim zawisł w powietrzu groźny przeciwnik, jak taranem w niego uderzając. Próżno sęp nastawia swój potężny dziób — daremnie wymierza straszliwe cięcia, osłania zdobycz skrzydłami — zwinny w zwrotach — zręczny w locie orzeł zwalcza przeciwnika mniej zręcznego — wydziera mu zdobycz — ulata z nią a sęp wraca po nową do stada.

Mimo swej siły i drapieżności, orzeł nie odważał zadzierać się z całą gromadą grabarzy, wiedząc, iż „nec Hercules contra plures“. Lecz ten ptak królewski nie tylko tak wrogo jest usposobiony do swych dalekich pobratymców, zachowuje on i względem rodzonych braci swych zawsze wrogie usposobienie, gdy chodzi o żer, byt i istnienie. Pewnego razu obserwowałem z mym starym korańcem Kimachą godzinną walkę dwóch orłów, toczącą się w powietrzu nad zdechłą owcą. Przepiękny widok takiej walki, ile w niej siły i zręczności a drapieżności wykazują te piękne ptaki! Drąc się pazurami, bijąc skrzydłami, drą garściami z siebie wspaniałe pierze, niekiedy zawisają na dłużej w wyżynach spleceni z sobą pazurami, czasem bolesny pisk rozedrze ciszę i zwyciężony z przerzedzonemi piórami w skrzydłach, pomiętym puchem na piersiach ocala się ucieczką, zwycięzca wraca do padła, lecz tu zastaje wartujące na niem dwa wilki, szczerzeniem kłów broniące zdobyczy. Gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta i w owej chwili o tem mogłem się przekonać.

O ile orły, bądź nasze stałe stepowe, bądź wędrowne, przyczyniały nam wiele szkód w hodowlanych naszych gospodarstwach, szczególnie w okresie lęgów i wykotów, o tyle uważaliśmy sępy za pożytecznych grabarzy, oczyszczających stepy od zarażającej powietrze woni padlin. Nie zauważono, by sępy kiedykolwiek rzucały się na zdrowe a nawet dogorywające stworzenie — również nie widziałem nigdy walczących z sobą osobników.

(C. d. n.)



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

W Snaasa. Graesaamoen. Łoś w Trondelagen. Polowanie na łosie z psem.

Trochę na północ od miasteczka Steinkjer, znajduje się wielkie, wspaniałe jezioro, zwane Inoasavath, otoczone obszernemi bujnemi lasami, jak również i mnóstwem dobrze zagospodarowanych ferm.

W miejscowościach Trondelagen (okolice te biorą swą nazwę od miasta Trondelagen) ludność jest przeważnie w dobrym bycie i gospodarna; nawiązawszy stosunek z tamtejszymi mieszkańcami, przekonałem się osobiście, że w najwyższym stopniu posiada ona wszystkie zalety norweskich chłopów.

Na wschodniej stronie jeziora wyłaniają się z lasów niebotyczne, nagie góry; są to góry Roktheia i Brandheia, których skłony schodzą ostro w doliny Roktdalen i Ogndalen, znane dobrze w tych okolicach pod nazwą „Łosiowych Gór".

Dalej na wschód ciągnie się długi łańcuch gór Skjaeker, dochodzących prawie do granicy Szwecji, w środku których, wzdłuż brzegów wspaniałego potoka Gauna, toczącego szeroko swe wody pomiędzy brzozowemi gajami, znajdują się samotne fermy Gaundalen w znanej okolicy łosiowej.

Na północ, na końcu jeziora, widnieje wysoka góra Andorfjeldet, a między nią i górami Bugvas, niżej leżącemi, poprzez wspaniałe łosiowe lasy, w stronę Grong, płynie rzeka Luru; długi zaś łańcuch Gjeitfjeldene ciągnie się szeroko wzdłuż zachodnich brzegów jeziora aż do północnych jego krańców ku Grong, tworząc wzniosłą jakby barjerę od Namdalen.

Wysoko, w kotlinie, znajdują się dwa duże jeziora: południowe i północne Bangsjo, — oba płodzące w swych nurtach wielkie pstrągi, które następnie wędrują do rzeki Bonga, oblewającej najpierw południowe podnóża rządowych lasów Vesteraa i Landegod, a następnie Bangdalen i lasy, należące do wielkiego państwa Collett.

Mógłbym, zdaje mi się, śmiało twierdzić, że z biegiem lat wspaniałe te okolice wyprodukowały większą ilość, aniżeli cała Norwegja, dużych wspaniałych łopat łosi! Można zaś usłyszeć tu wiele nader ciekawych przedziwnych opowieści z polowań i licznych wydarzeń sławnych myśliwych, lub mieszkańców urodzonych i wychowanych w tych puszczach leśnych!

Niedźwiedzi, niestety, nie spotyka się już w tych północnych lasach, lecz 30 lat temu była ich jeszcze obfitość.

Pomiędzy znaczną ilością starej zbroi i myśliwskich trofeów, ozdabiających moje ściany, znajdują się dwa ciężkie sztucery z nabojami na łosia i lufami długości 40 cali. Oba są to sławne niedźwiedziowe sztucery z kraju Snaasa, a jeden z nich zwany „Makalausa" (dosłownie: niezrównany) należał do sławnej rodziny myśliwskiej Vaag i używany był przez wielkiego myśliwego Jens'a Gaundalen. Kolba jego przyozdobiona jest 16 srebrnemi gwoździami, gdyż po każdym niedźwiedziu zabitym tym sztucerem, wbijany był w nią nowy gwóźdź. Drugi sztucer, tej samej prawie długości, ważący około 15 funtów ang., miał podobno należeć do powszechnie znanego myśliwego na niedźwiedzie, Butulf'a Gifstad'a

---

ST. BARABASZ

Czeladź św. Huberta

(Ciąg dalszy)

Pan S. jako tokarz z zawodu, miał dobrze wytrenowane nogi, więc gonił niezmordowanie przez cały dzień, jakby wiewiórka w obracanej, drucianej klatce i nikt mu nie mógł nadążyć. Skutek był taki, że zgoniony źle strzelał.

Rewir w Nowej Wsi był idealny, około tysiąca morgów obszaru, z mnóstwem parowów zarośniętych drzewami i gęsto podszytych, które stanowiły naturalne remizy. Jesienią spotykało się tam sarny, słonki i lisy. Niestety spotykało się także sidła druciane i włosiane. Na rewir ten patrzyli z zazdrością towarzysze p. Antoniego, lecz nie można było pana S. przelicytować, bo on utrzymywał dobre stosunki z chłopami, dzięki baterji flaszek. Na całe zaś towarzystwo patrzyliśmy z góry, i pokpiwali z nich, zwiąc ich nowowsiokami, śpiewając:

„Nowowsioki jadą, okrutną gromadą, a pan S. na przedzie z butelką rej wiedzie" i t. d.

W drodze powrotnej spotykały się te dwie grupy w kawiarence w Liszkach, gdzie opowiadano sobie wzajemnie zdarzenia dnia i różne kawały myśliwskie.

Kawiarenkę tę utrzymywała wdowa, mająca młodziutką i ładną córkę Manię, do której umizgali się myśliwi, zwłaszcza starsi, obsługiwała zaś gruba wiejska dziewucha Kundusia, na którą p. Ksawery wołał „Kundysa", gdy się nie mógł kawy doczekać.

* * *

Do myśliwych, którzy w tych stronach dzierżawili polowanie, należał pan W. zwany zwykle Bombą. Był to człowiek prosty, ale sympatyczny i jowialny. Grał na gitarze i śpiewał różne zabawne piosenki i krakowiaki. Miał on domek w Dębnikach, gdzie mieszkał, a był z zawodu majstrem ciesielskim. Odwiedziwszy go raz w jego rezydencji, zastaliśmy go rozebranego do rosołu, bo tylko w bieliźnie, siedzącego na ławce w ogrodzie, z gitarą w ręku i śpiewającego:

„Kochaj murarczyka, a zostaniesz panią, kupi ci sukienkę, jak zarobisz na nią".

Naprzeciwko niego siedział wyżeł „Niuni" odwrócony tyłem do pana i wył w niebogłosy.

ze Snaasa, a raz był użyty w łowach podbiegunowych na Szpicbergu.

Musiał to być potężny i silny człowiek, aby mógł w lesie dźwigać na swych barkach takie ciężkie działo!

Najwięcej łosi w Trondelagen znajdowało się przy przy końcu zeszłego stulecia, był to złoty wiek łowów łosiowych w Norwegji! Od tego czasu liczba ich stopniowo malała, a w końcu wielkiej, światowej wojny — stały się one nawet rzadkością.

Zanikanie tego grubego zwierza przypisywać należy częściowo zbyt intensywnym polowaniom, a także, prawdopodobnie, stało się ono następstwem choroby epidemicznej łosi, gdyż, jak się dowiedziałem od mieszkańców tych lasów, wiele ich nieżywych znajdywano w lasach Namdalen i w sąsiednich okolicach.

Warto byłoby podać tu wzmiankę Johs. Kjesbu z książki jego o łowach w Trondelagen. Podobno około 1800 r. tak mało było łosi w Trondelagen, że uważano je już za nie istniejące. Zniszczenia, jakie sprawiały ogromne stada wilków, a wobec tego liczne wilcze doły, nadzwyczaj sprytne zapobiegawcze urządzenia i pułapki na wilki, wszędzie przez mieszkańców ustawiane, — stały się przyczyną wytępienia łosi.

Pierwsze prawo ochronne z 1818 r., tyczące się łosi i innego zwierza, odrazu wiele dobrego tu zdziałało; jednocześnie zaś, ilość wilków znacznie się zmniejszyła, a w następstwie tego, około roku sześćdziesiątego, zaczęły się pojawiać gdzieniegdzie w swych starych siedzibach, zapewne imigranci z wielkich południowych borów Osterdalen, gdzie się jeszcze trzymały nieliczne ich stada.

Okolice Snaasa, doliny Sanddola, jako też i Namdal, odwiedzane były zawsze przez licznych cudzoziemców-podróżników, myśliwych i sportsmenów, a mianowicie przez Niemców, Austrjaków i kilku nawet Anglików. Najwięcej znaną tu osobistością był p. Otto Schultz, który wiele lat temu przybył do Norwegji na łosie, a nawet ostatniemi czasy zamieszkał tu stale w ślicznej swej willi w Egge, przy Steinkjed.

Schultz był zapalonym i nieustraszonym myśliwym; nic więc dziwnego, że po długim tu swym pobycie, przywiózł wiele wspaniałych łbów, upolowanych w lasach Ogndalen, Roktdalen, Luru i t. d. W willi jego w Edge znajduje się wspaniała kolekcja łopat norweskich, które są niezawodnie, najpiękniejsze w świecie.

Pierwszy raz przybyłem do Snaasa jako gość p. Ottona Schultz'a. Właściwie w drodze do Namdalen, gdzie polowałem na łosie w lasach mego przyjaciela, spotykałem się w Steinkjed z p. Schultzem, który mię uprosił, acz z trudnością, do towarzyszenia mu, gdyż wynajął on właśnie na okres łowów sławne rządowe lasy Luru i Graesaamoen, a stały jego towarzysz polowań nie zjawił się dotąd.

Znaleźliśmy się po niejakim czasie na pokładzie małego parowca, który szybuje wzdłuż jeziora Smaasa w cudownym blasku słonecznym aż do Sem, małego folwarczku na północnym brzegu tego jeziora. Stąd, główny gościniec ciągnie się prosto na północ do Grong i Namdalen, wzdłuż podnóża łańcucha gór Gjeitfjeldene; myśmy jednak udali się polową, wąską drużyną na małym wózku, obładowani bronią i żywnością. Po długich godzinach podróży dotarliśmy do fermy Almo, przytykającej do potężnych lasów, bez przerwy ciągnących się hen, na wschód, w góry. Byliśmy nadzwyczaj gościnnie przyjęci przez właściciela tej fermy, starego Jana Almo i jego zięcia i zarządcę Ole Agle.

Nie mając z sobą człowieka obznajomionego z okolicą,

Ten wyżeł był tresowany nie tylko do polowania, umiał różne sztuki, nawet chodził po drabinie.

Na granicy rewiru wysyłał p. W. psa dla zrewidowania łanu kartofli, nb. na obcem terytorjum, sam zaś tam nie wchodził. Często pies ruszył kury, które przeniosły się do jego rewiru, a wtedy Bomba chodził za niemi.

Gdy postrzelonego zająca Niuni dopadł, nie dał go sobie nikomu obcemu odebrać, a gdy mu było za daleko nosić, to zakopał go w piasku lub w śniegu.

Bomba był bardzo dobrej tuszy. Chcąc przenieść dla znajomego zwierzynę przez rogatkę, nieopłacając akcyzy miejskiej, włożył po jednym zającu do każdej nogawki, zawiesiwszy ją na szelkach, przeszedł spokojnie rogatkę i ani znać tego nie było przy jego korpulencji.

Bombę zabrano raz na polowanie na dziki do Bystrej koło Jordanowa. Strzelców bowiem było niewielu, knieja dosyć trudna do obstawienia, a chciano także staremu strzelcowi, który nigdy na dziki nie polował, przyjemność zrobić.

Po trzech pustych miotach, postawiono Bombę na wąskiej krętej ścieżce, nakazując mu uwagę, bo jeżeli dzik jest w miocie, to tędy będzie przechodził.

Bomba stanął posłusznie, lecz pomyślał sobie: „Nie mnie starego brać na kawał, dzików niema, wyjdzie tu guzik, nie świnia".

I położył się opodal w krzakach, a że miot trwał długo, tak i zasnął. Po skończonym miocie pokazało się, że dzik rzeczywiście przeszedł przez jego stanowisko.

Strasznie się struł stary tem, że świnia potrafiła jego „franta" wykiwać, i odjechał, nie czekając końca polowania.

* * *

Jako młody chłopak, mieszkałem w Krakowie u urzędnika kolejowego, czyli jak to się mówiło, stałem na stancji. Był on zapalonym myśliwym i często wyrywał się na polowanie, chociaż stosunki służbowe nie bardzo na to pozwalały.

Ale umiał sobie radzić ze swoimi przełożonymi, którzy za przymknięcie oczu na tę jego namiętność, chętnie przyjmowali w podarunku zwierzynę.

O ile mogłem wówczas wymiarkować, nie dzierżawił on żadnego rewiru, lecz polował w bliskości miasta wszędzie, gdzie tylko kogo znał. Często brał mnie z sobą, początkowo bez strzelby, później zaś z pojedynką. Był to

gdzie miałem polować, ani też nie posiadając psa do polowania na łosie, zmuszony byłem prosić Jana Almo o zaradzenie tym moim niefortunnym okolicznościom. Uczynił on natychmiast co mi było potrzebne, a mianowicie posłał zaraz po swego siostrzeńca Lorents Moum, z fermy Moum (z zachodniej strony jeziora), który nazajutrz przybył do nas ze swym psem Flinkiem.

Las Luru zaczyna się niedaleko od gościńca Grong i ciągnie się od rzeki Luru na zachód, między wzniosłemi górami Rangtjern, Grisbak i Bugvas na północ, a górami Andor i Halbuna na południe, sięgając daleko na wschód aż do szczytów Gauptjernakslen i Lurusneisa, — ten ostatni w kształcie głowy cukru.

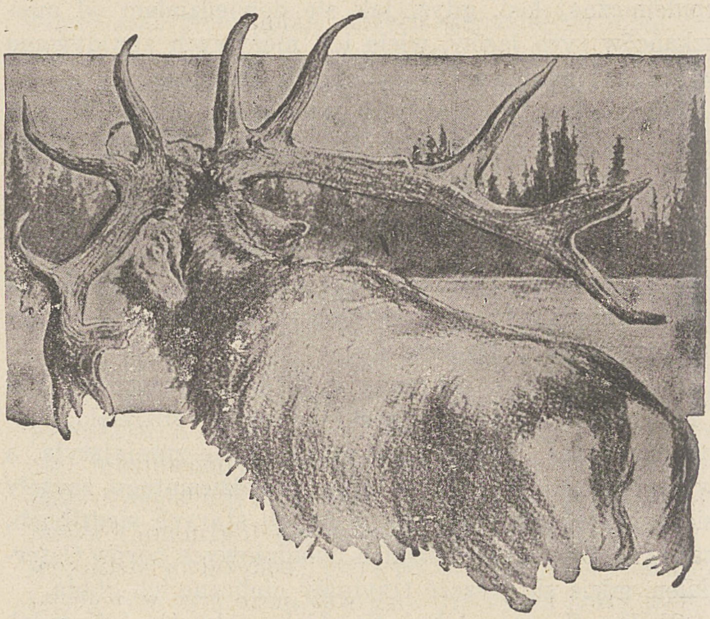
W lasach Luru, — podobnie jak prawie we wszystkich rządowych lasach w tych okolicach, — spotyka się często nagie płaszczyzny, rozległe obszary błotnisk i jezior, — przestrzeń zaś tych lasów jest niezmierzona!

Prawdziwie jednak odpowiednia i sprzyjająca okolica dla łosi, znajduje się wzdłuż dopływów rzek i jezior, wśród sosen i świerków.

We wschodniej części okolicy Luru ciągnie się rządowy las Graesaamoen, który stał się specjalnem miejscem mych łowów, z główną mą siedzibą w małej fermie Graesaamoen; p. Schultz zaś obrał sobie mieszkanie w Mossaetz, w leśnej chałupce, w samym środku lasu Luru.

Dnia 19 września, wczesnym rankiem, Lorents i ja puściliśmy się w las wraz z jednym jeszcze towarzyszem i z koniem obładowanym naszą bronią i żywnością. Niebo zachmurzone jeszcze po nocnym deszczu i wspaniały koloryt drzew na wierzchołkach gór, sprawiały nam wrażenie prawdziwej już jesieni.

Po półgodzinnem prawie chodzeniu, wyszliśmy z lasu i znaleźliśmy się nad rzeką Storaas, płynącą ze wschodu przez jezioro Seisjoen naprzeciw góry Andor, którąśmy mieli obejść. Ziemia była tu błotnista i uginająca się tak, że zazdrościłem Lorntsowi jego praktycznych rodowitych „moccasings", inaczej zwanych także „komager" obszytych gęsto trawą senesową „sennegras" (carex visicaria), rodzaj turzycy, która rośnie tam wzdłuż rzek i jezior i ma tę właściwość, że nigdy nie przepuszcza wilgoci. (C. d. n.)



właściwie karabinek przepisowy dla szkoły wojskowej, niegwintowany, tylko z gładką lufą. Strzelał tak nadzwyczajnie, że na 50 kroków koło śrutów nie wychodziło poza arkusz papieru.

Właściwym rewirem polowania pana W. była linja kolejowa od Krakowa aż poza Podłęże.

Pamiętam jak raz „załadowali" nas, t. j. jego, jego syna, mnie i psa, do wozu pakunkowego, gdzieś około północy na stacji w Krakowie i przetaczali ten wóz ze dwie godziny po różnych torach, a przy każdorazowem szarpnięciu maszyny, leżeliśmy na podłodze. Na stacji w Podłężu, wedle umowy z maszynistą, pociąg zwolnił biegu, pan W. otworzył drzwi wagonu przeciwległe od budynku stacyjnego i wyskakiwaliśmy w biegu.

Było jeszcze szaro na świecie, więc musieliśmy siedząc na wale kolejowym, czekać dnia. Potem polowało się na łąkach niepołomskich, wzdłuż toru kolejowego, po zalewach i bagnistych rowach, na krzyki, kurki i kaczki. Na suchych miejscach nieraz ruszył zając. I tak wracało się powoli do Krakowa.

* * *

Jednym z kłusowników, wyprawiających się otwarcie na cudze polowania, był p. M. Właściciele polowań często zasadzali się, aby go na kłusownictwie przyłapać, lecz on zawsze jakoś szczęśliwie się wykręcał. Raz dano znać do dworu, że na polach poluje kilku kłusowników. Właściciel zebrał parobków i zobaczył kilku strzelców z błyszczącemi strzelbami, pomiędzy nimi i pana M., którzy chodzą po polach szeregiem i gęsto strzelają. Otoczył ich i zawołał, aby oddali broń. Ci najspokojniej oddają strzelby wystrugane z drzewa, z oklejoną srebrnym papierem lufą i petardy, któremi strzelali. Można sobie wyobrazić wściekłość właściciela polowania i głupie miny parobków.

„Myśmy się tylko bawili w polowanie".

Terenem, gdzie pierwsze kroki w zawodzie myśliwskim stawiałem, były pola, łąki i lasy Niepołomickiej puszczy. A wspaniały to był rewir. Lasy ciągnęły się pasem trzymilowym, od Staniątek, aż po Groblę nad Wisłą. Drzewostan przeważnie sosnowy, poprzerastany dębiną. Od strony Wisły i łąk, rosły olszyny, gdzie były piękne ciągi słonek.

Rodzice moi mieszkali nad Wisłą, ja zaś przyjeżdża-

JAROSŁAW HUBÁLEK

Wierny przyjaciel

(Ciąg dalszy)

Wyparł borsuka tuż — tuż przed nim! Jeszcze jeden krok i Bull milczkiem, z całą pasją zacina się kłami w zad cofającego się zwierza. Borsuk odpowiedział na atak silnem uderzeniem zadniej nogi, uzbrojonej olbrzymiemi pazurami. Zawiódł się jednak. Bull nie był z tych, co ustępują po pierwszej ranie.

Osobliwe to psy — te foksteriery, a zwłaszcza ostrowłose! Waleczność i nieustępliwość buldoga z temperamentem jamnika. Najboleśniejsza rana jest dla nich tylko podnietą i doprowadza do szału zawziętości. Dopóki siły fizyczne starczą, piesek ten nie ustąpi w walce — małe serduszko jego bowiem, zgoła nie wie, co to uczucie strachu.

Bull dotkliwie uderzony ostremi pazurami w twarz, z nosem rozdartym, oślepiony ziemią i piaskiem — tem zaciekle) sobie poczynał. Zapuściwszy głęboko wszystkie zęby w udo borsuka, rozpierał się konwulsyjnie na stalowych swych piętach i z całych sił ciągnął na światło dzienne. Ale i borsuk nie był głupi. Mając psy z obu stron — czuł przegraną. Cofać się nie mógł. Więc wyrwał się Bullowi i spróbował wypadu wprzód. Udało się. Zmęczona Pera ustąpiła. Dostał się do przekopu — wygramolił na brzeg i cięty wciąż przez Bulla — drapnął w las. Psy za nim. Osadziły go pod grubym bukiem. Oparł zad o wystające korzenie i pokazał napastnikom, co umie. Daremnie wpiły się wszystkie trzy w jego kożuch. Gruba skóra i warstwa sadła, oparła się zębom, a gardła chronił starannie, nie podnosząc głowy zbyt wysoko. W milczeniu toczył swój bój ostatni. Nie trwoniąc sił na próżne obroty, rozdawał cięcia rzadkie, a jak stal ostre, pazury wyciągał jedynie po krew. Każdemu ruchowi jego towarzyszył skowyt psi.

Walka się przedłużała zbytecznie. Więc z tyłu zaszedłszy, przeciął ją leśny jednem uderzeniem dębowego kija w głowę borsuka. Z trudem oderwano psy od trupa, by je jako tako opatrzyć. Najsrożej pokieraszowanym był Boj. Przednia noga rozcięta, mordka świecąca gołą kością szczęki, ucho rozerwane na pół. I Bull nie wyszedł bez szwanku. Miał nos rozdarty pazurem głęboko, brodę pociętą i ranę szarpaną pod samem okiem. Pani Pera zaś, dzięki widać nabytemu doświadczeniu i wrodzonej rozwadze, wyszła z terminu obronną ręką.

Choć im nie w smak było, zaprowadził leśny wszystkie trzy do potoku, gdzie je wymył i przepłukał rany. Potem wyjął z plecaka flaszeczkę z jodyną i zalał obrażenia mimo srogiego pisku biedaków.

„A teraz do domu! Słońce, jeno patrzeć, jak zajdzie. Wy — gajowy, obciągniecie borsuka i oddacie mi skórkę! Sadło wasze. Niech wam w zimie służy na grzbiet i na buty. Mięso oddacie Jurkowi!“ Obdarowani radośnie wykrzyknęli „Bóg zapłać“. Jurko zarzucił na plecy piętnastokilową zdobycz i ruszono do domu.

Dopiero nazajutrz było widać, że walka z borsukiem, to nie zabawka. Rany psów się zaogniły, biedaki opuchły potwornie. Organizm zwierzęcy, nie znający narkotyków i alkoholu, goi się szybko. Nasi pacjenci po dwóch tygodniach byli zdrowi, jak rydze, a rany zabliżnione. Żegnając się na wyjezdnem, przypomniał sobie inżynier niedawne kopanie. „Teraz rozumiem, na czem polega różnica między norą sztuczną a naturalną. Nigdybym nie uwierzył, żeby mój Bull, który przy próbnem norowaniu w pierwszym ataku brał borsuka za gardło, nie

---

łem na każde święta i wakacje do domu i bawiłem się pukawką.

W zamku niepołomickim mieszkali urzędnicy kamery, bo lasy były rządowe. Pomiędzy nimi byli Czesi, Niemcy, ale ci się dosyć prędko spolszczyli, tak, że tylko nazwisko przypominało ich pochodzenie. Przeważnie jednak byli Polacy.

Zwierzyny w lasach nie było wiele, chociaż rewir był idealny, zwłaszcza sarn było mało, bo oprócz kłusowników, niektórzy leśniczowie żywili się zwierzyną, jak np. leśniczy D., Czech z pochodzenia. W owych czasach, niepamiętam, abym kiedy spotkał kuropatwy na polach.

Gdy raz na wilję, leśny wezwał znanego kłusownika Kisielewskiego do prowadzenia nagonki, zabroniwszy mu strzelać, tylko wrazie gdyby lis się wymykał poza nagonkę, ten mając w miocie stadko sarn, wygarnął do nich po łebkach i położył cztery siuty. Poczem nie czekał na nagrodę od leśniczego, lecz uciekł z miejsca do domu. Chwalił się, że będzie miał szczęście cały rok, bo na wilję zabić na jeden strzał cztery sarny, to nie bądź kto potrafi“.

Bardzo sympatyczną i powszechnie lubianą osobistością w Niepołomicach i całej okolicy, był nadleśniczy p. Józef K., którego nazywano łowczym. Ten tytuł pozostał prawdopodobnie jeszcze z czasów, gdy puszcza niepołomska należała do dóbr królewskich i drogą tradycji przyznawany był każdorazowemu naczelnemu leśnikowi.

P. K. był wówczas kawalerem. Bardzo przystojny, wesoły, pełen temperamentu, wniósł dużo życia do zapadłej prowincjonalnej dziury, jaką były Niepołomice. Zwłaszcza kobiety przepadały za nim, bo też i on kobieciarzem był, nie uznającym kast społecznych, i dużo na ten temat opowiadano sobie na ucho o jego przygodach.

Urządzał on majówki w lesie, lub galarem Wisłą do lasku w Koźlicy — słowem starał się łączyć towarzystwo rozbite na koterje, przytem nie trzymał języka za zębami i mówił wręcz prawdę w oczy. Gdy urządzał raz wycieczkę Wisłą do lasu, jedna z pań zaproponowała, aby zaprosić na nią księdza wikarego, P. K. oburzył się; „Jeżeli ksiądz pojedzie, to ja dla równowagi żyda wezmę“.

Ówczesną modą i zwyczajem grał on na gitarze i śpiewał, zwłaszcza na majówkach i wycieczkach.

Po jednej takiej wycieczce, towarzystwo wracało do

mógł mu dać rady w lesie i tyle jeszcze wyniósł ran. Na nosie będziesz łobuzie, do śmierci nosić pamiątkę. Pożegnaj się ze swą panią i synkiem, bo się nie zobaczycie, aż za rok!"

I pożegnał się Bull ze swą Perą — niestety na zawsze, W miesiąc potem rozkoszna psina, została pokąsana przez włóczęgę-psa wściekłego. Nie czekając na objawy choroby, musiał ją leśny zastrzelić. Pod starym świerkiem za leśniczówką własną ręką wykopał jej grobek, wysłał miękko jedliną i nie broniąc się łzom rozrzewnienia, pochował białe ciałko suczyny. Nie dziwmy się łzom męskim nad mogiłką wiernego pieska! Wszak Pera była mu jedyną żywą pamiątką po ukochanej nieboszce...

II.

Czas goi najgłębsze rany, zabliźnia najsmutniejsze wspomnienia. To też i w leśniczówce Jaworskiego biegło życie zwykłym trybem, z tą tylko różnicą, że na dziczej skórze legiwał zamiast Pery, młody Boj, jako dwulatek w pełni sił i rozwoju. Z Jaworskim stanowił nierozdzielną parę. Towarzyszył mu w codziennych obchodach służbowych, nie zaznawszy obroży ani rzemienia. Boj nie potrzebował tych znamion niewolnictwa. Znał swe obowiązki, zresztą nie liczne. Posłuszny na skinienie, umiał dobrze aportować, nos miał wyborny i umiał go dobrze użyć. Od dziecka odważny, obecnie stał się ostry. Swemu panu oddany całą duszą, niebawem dał tego dowód.

Było to w zimie. Jaworski dostał polecenie odstrzelić trzy dziki i posłać chlebodawcy do Pragi. Śnieg leżał po kolana, a dziki, jak na złość, wyniosły się z rewiru w niższe słoneczne pola sąsiedniego leśnictwa. Cały tydzień tropiono napróżno. Aż wreszcie przyszedł gajowy z raportem, że rudel z siedmiu sztuk złożony, stoi na „Borsuczynie". Miejscowość odległa dziesięć kilometrów, zapadła w głębokich lasach. Stary porost mieszanego drzewa, różnego wieku. Moc wielkich głazów, pod któremi liczne nory borsucze, skąd ostęp wziął swą nazwę. Naprędce zarządzono obławę. Leśny i dwaj gajowi na linję, dwaj drwale po tropach mieli przejść miot. Boj ich prowadził. Jaworski stanął na głównym przesmyku w połowie stoku góry. Gajowy, jeden w górze, drugi na dole nad potokiem.

W Karpatach strzelcy nie stoją blisko siebie. Mioty bywają ogromne, a ludzi zawsze mało. Wynik polowania zależy głównie od znajomości przechodów zwierzyny i te w miarę możności się obstawia. W tej chwili stoją np. strzelcy o trzysta kroków od siebie, stok bowiem jest około kilometra szeroki.

Leśny już stał na stanowisku. Miot trwać będzie przynajmniej dwie godziny, warto więc rozejrzeć się za wygodnem siedzeniem. Odgarnął śnieg pod nogami i udeptał go, żeby się przypadkiem nie zdradzić jego chrupaniem, nabił broń pięcioma półpłaszczowemi kulami i czekał.

Naganka jakoś nie rusza, sygnału nie słychać. Tak to bywa, że powiesz góralowi „za pół godziny", poczekasz z pewnością najmniej całą. Zresztą, nic nie szkodzi. Staremu Korzanowi nogi już nie dopisują i nim się pod górę wydrapie na swoje stanowisko...

Wiatr wymarzony: nie wielki i wprost od miotu. Wkoło martwa cisza. Gołe korony drzew liściastych wyciągały oszronione gałęzie ku zimnym, śniegowemi chmurami zasnutym niebiosom, w niemej prośbie o zmiłowanie, o wiosnę. Jeszcze trochę cierpliwości. Styczeń się kończy, luty zleci prędko i w marcu ze słonkami nadciągnie wiosna.

---

domu wieczorem, najpierw panie z dziećmi, mężczyźni zaś pozostali i zebrali się koło łowczego z gitarą. Ja z bratem, domyślając się, że będzie śpiewał, zostaliśmy także, Ktoś z panów zwrócił uwagę, że może dobrzeby było, wysłać nas za kobietami do domu, na co łowczy odparł, że przecież to już duże chłopaki, mogą iść z nami. Brat mój miał wtedy 16, a ja 14 lat.

Uszykowaliśmy się w pochód, wzięli pod ręce, łowczy zabrząkał na gitarze, kazał wszystkim akompaniować w takt marsza: zum, zum, zum... i zaczął grać melodję ludową i śpiewać różne przedziwne piosenki, na odwieczny a zawsze zajmujący temat, jak np.: Kaśka za piec, Maciek za nią, rozwalili ocet z banią. Juści ocet jako ocet, ale Maciek Kaśki i t. d.

Było to dla nas młokosów rewelacją, odkryciem nieznanych a dawno przeczuwanych światów. Słuchaliśmy chciwie, aby nie uronić żadnego słowa. Dużo się wtedy nauczyłem, jednak przed rodzicami oczywiście ani słówkiem nie wspomnieliśmy o tej uświadamiającej szkole.

Był w leśnictwie tamtejszem młody leśniczy, który lubił płeć nadobną, zajętą sadzeniem kultury w lesie. Otóż łowczy wyuczył jego małego siostrzeńca krakowiaka, którego mu ten zaśpiewał na proszonej kawie u jego siostry: Panie Pabijański pilnujże kultury, nie chodź po gęstwinach, nie psuj... ludziom skóry.

„Kto cię tego smarkaczu nauczył?" — krzyknął zirytowany leśniczy.

„Pan łowczy" — odpowiedział dzieciak.

P. K. był miłośnikiem kwiatów, a szczególnie róż, których przepiękne odmiany chodował, chętnie je kobietom ofiarowywał, i dlatego zapewne wiele mu wybaczano.

Gościnnym był nadzwyczaj. Gdy był leśniczym w Gawłówku, wybrały się do lasu zakonnice z klasztoru w Staniątkach z uczennicami na majówkę. Zaprosił ich na leśniczówkę, przyjął bardzo gościnnie czem miał, chlebem razowym, mlekiem, miodem, grał im i śpiewał, i tak rozkrochmalił zakonnice, że razem z uczennicami z nim tańczyły, a potem pewnie kilka nocy z rzędu spać nie mogły, biczując się i odpędzając grzeszne myśli.

Gdy się zaś z kim poróżnił, to go znienawidził.

„Panie, ten człowiek nie wart, aby go hycel pałką zabił" — mówił.

Brał on mnie na ciągi słonek, na które wszyscy urzędnicy z Niepołomic chodzili. Stawało się w olszynach, któ-

Poprzez nagie korony widział leśny całe zbocze jak na dłoni. Pogoda robiła się niepewna, las przybierał w oddali barwę coraz wyraźniej ciemno-siną.

Z obserwacji wyrwał go ostry furgot skrzydeł. Obrócił wolno głowę. Gdzieś od tyłu przyleciał „doktór“, usadowił się na zbutwiałym pniu starej osiny i energicznie zabębnił klinowatym dzióbkiem w odstającą korę, wołając pasorzyty drzewne na sąd ostateczny. Za chwilę zleciała gromada swawolnych sikorek. Urodzone akrobatki. Z góry na dół, z dołu do góry po gałęziach, bezustannie, aż w oczach migało. żeby choć chwilka wytchnienia. Istne żywe srebro. Oczka, jak dwa czarne djamenty, zaglądają w najmniejsze zagłębienie, pęknięcie, czy szczelinkę kory i nieszczęsna poczwareczka lub uśpiony owad, którego dojrzą te oczęta...

Hen w oddali ozwało się słabe „Halooo! To naganka ruszyła. Jaworski położył sztucer na kolanach, odwiódł zabezpiecznik i wpił się wzrokiem w miot. Zawczasu przyzwyczaić oko i zapoznać z wszystkiemi szczegółami terenu, z każdym pniem, z każdą leżącą kłodą, z każdą nierównością gruntu! Wtedy nie pociągniesz za cyngiel w tym momencie, gdy zwierz przechodzi przez dołek i kula nie minie górą celu. Winieneś obliczyć naprzód wszystkie kierunki, odległości, czas mierzenia, bo idzie tu o strzał kulą w biegu i do zwierzyny niekiedy niebezpiecznej. Ale co tu mówić o niebezpieczeństwie staremu myśliwemu! Nowicjusz zblednie, broda mu się trzęsie, czasem wdrapie się na drzewo, nie widząc jeszcze dzika. Inny, śmielszy trochę, zawczasu upatrzy sobie odpowiednie drzewo i stanie pod niem. Lecz stary wyga, mający dziesiątki, albo i setki dzików na sumieniu, wyśmieje wszelką przezorność, licząc jedynie na wypróbowaną broń i własne oko. Do takich właśnie należał Jaworski. Jeszcze daleko była naganka, gdy z za szczytu góry doleciało miarowe granie foksteriera. To Boj prowadził dzika. Jaworski wstał, raz jeszcze obrzucił wzrokiem broń i ostrzał i skamieniał w bezruchu oczekiwania. Trzeba koniecznie postarać się o to, aby owe trzy sztuki padły, inaczej biedni gajowi znów tygodniami brnąć muszą w śniegach za tropami. Przedewszystkiem — jeśli wyjdzie gromada — rozbić ją, żeby każdy miał możność strzału. Choćby na sztych, mniejsza z tem, że strzał i trudny i ryzykowny — wszak swemu Mauzerowi może zaufać.

W tem na grzbiecie góry mignęła sylwetka grubej sztuki, potem druga i trzecia, za nią kilka razem. Daleko! Trzeba czekać! Dziki szły jak burza, w ostrem tempie, biorąc z zadziwiającą łatwością wszelkie przeszkody terenu. Boj szedł z ostrym, namiętnym jazgotem tuż za niemi. Lufa sztucera wyciągnęła się pożądliwie i w akord psiego grania i fukania rozhukanej gromady wplótł się suchy trzask sztucerowego strzału. Upatrzony odyniec nie reagował. Szczęk zamku i druga kula ugodziła w sam ryj zwierza. Boleśnie ranny, zatrzymał się na sekundę, dojrzał strzelca i runął na niego. Reszta rozbiegła się we wsze strony. Dwa poszły w górę, powitane loftkami gajowego. Leśniczy zaś zdążył na pięć kroków posłać trzecią kulę dzikowi i uskoczył w bok. Zdradziecki pieniek, sterczący pod sypkim śniegiem, był powodem, że leśny — zamiast ocalić się skokiem — potknął się i upadł pod same nogi zwierza. Broń wypadła mu z ręki i utonęła w śniegu. Pierwsze uderzenie ostrych racic przednich w piersi — i Jaworski poczuł wyraźne pęknięcie żebra. Nie zważając na ból, rozpaczliwie chwycił oburącz za ryj i chciał wołać o pomoc. Lecz ze zgniecionych piersi — miast głosu wyszło stłumione chrapa-

---

re ogromnym łukiem okalały łąki, na kraju grubego lasu. Przyjeżdżałem na Święta Wielkanocne do domu i z wielką uciechą chodziłem na te ciągi. Było to dla mnie wielkie święto, cudne wieczory, śpiew drozdów i różnych ptaków, chrapanie i świstanie słonek, czasem cichy przelot sowy, lub kwakającej kaczki, wszystko to miało niewypowiedziany urok.

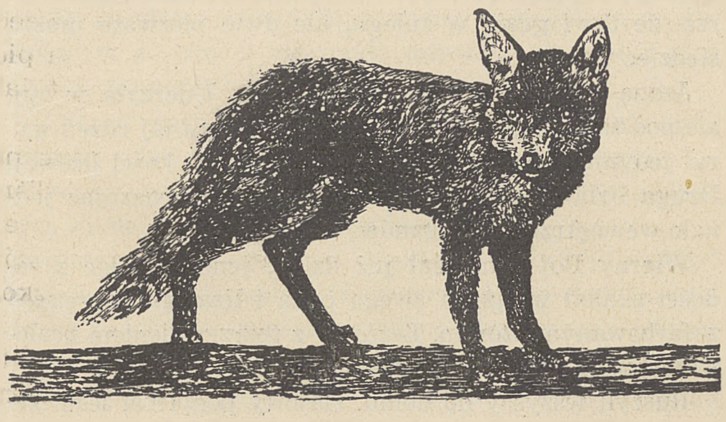
O ile pamiętam, słonek było wiele, strzałów jeszcze więcej, tyle prawie co pudeł, rzadko bowiem zabił kto słonkę. Ja strzelałem co wieczora, jednak bez rezultatu.

W dzień wigilijny urządzał łowczy tradycyjne polowanie, na które i mnie wreszcie ku mojej wielkiej radości zabrał. Postawiono mnie w pierwszym miocie na szerokiej linji przed zaśnieżonym młodnikiem. Niedługo po ruszeniu nagonki, padł gdzieś na skrzydle strzał do lisa, który się wrócił do miotu. Po chwili zaszeleściało przedemną i ujrzałem na kilka kroków w gąszczu ślicznego żółtego liska, podniósł łapę i patrzył na mnie. Podniosłem szybko strzelbę do ramienia i wypaliłem.

Widziałem po strzale przewalającą się w śniegu kitę lisa. W tej chwili nie istniał dla mnie cały świat, nie widziałem nic oprócz tego trzepoczącego się futra, mogło przejść koło mnie całe stado sarn, nic mnie to nie obchodziło, pilnowałem z palcem na cynglu lisa, aby się nie zerwał i nie uciekł.

Ale nie było obawy, przetrąciłem mu bowiem wszystkie cztery łapy, strzeliłem za nisko. Byłem wtedy królem polowania, bo oprócz zajęcy, nikt lisa nie zabił. Dopiero następnej jesieni, zabiłem pierwszego zająca.

(Dok. nast.)



nie. Z dziwną wyrazistością widział swój bliski koniec. Czyż można myśleć o ocaleniu, gdy gorący oddech zwierza oblewa mu twarz? Ale jak się to wszystko stało? Gdzie jego trzy kule? Nie może inaczej być — tylko dzik jest śmiertelnie ranny i to jest jego wściekłość agonji! Więc mocniej jeszcze ścisnął ryj — nie pomny bólu lewej ręki, zranionej pierwszem uderzeniem racic, byle jeszcze chwilę przetrzymać, byle pomocy się doczekać. Już mdlał z wyczerpania — gdy nad samem uchem usłyszał nagle zajadłe szczekanie Boja. „Psina poczciwa" pomyślał resztką gasnącej świadomości — co ty zrobisz temu kolosowi?" Sytuacja zaś zmieniła się w jednej chwili. Szczekanie ucichło, natomiast ozwało się bolesne kwiknięcie. To dzielny Boj konwulsyjnie zagryzł się od zadu w najczulsze miejsce zwierza i ze ślepą zajadliwością wisiał, jak kleszcze, choć dzik obracał się na miejscu i wściekle sięgał ryjem natręta.

Leśniczy zapadł w pół sen — pół odrętwienie, jak przez mgłę — słyszał szybkie kroki, potem strzał...

Obudził się dopiero, gdy gajowy Korzan, wytarł mu skronie śniegiem. Nie mógł ustać na nogach, w lewej stronie piersi czuł dotkliwy, przeszywający ból.

Opodal leżało ogromne, czarne cielsko, któremu Boj, na próżno usiłował dobrać się do skóry pod gardłem. A gajowy tymczasem opowiedział leśniczemu i nadbiegłym naganiaczom całe zdarzenie. Usłyszał trzy strzały — i zobaczył trzy sztuki idące od stanowiska pana leśniczego. Co prawda, wyszły bardzo dobrze na strzał. To też jednego położył okrągłą kulą z gładkiej prawej lufy, drugiego z lewej gwintowanej. Nie zdążył nawet obejrzeć zdobyczy, gdy Boj nagle zawrócił i puścił się pędem na stanowisko leśniczego. Coś tknęło gajowego i pospieszył co tchu za psem. Ujrzał go powtórnie w chwili ataku na dzika. Dobiegł na piętnaście kroków — nie zauważony przez dzika, zajętego natrętnym psiakiem. Nabój loftek, wymierzony w sam łeb odyńca, położył kres tej dziwnej walce Goliata z dzielnym Dawidem.

Naganiacze tymczasem zrąbali siekierkami dwa cienkie graby i na prędce improwizowali z nich nosze. Leśniczy przerwał im robotę machnięciem ręki: „Dajcie pokój! Spróbuję zajść o własnych siłach. W piersiach mnie tylko boli — pewnie jedno żebro będzie złamane — ale nogi mam zdrowe. Lepiej zobaczmy bliżej tego czarnego zbója! Panie gajowy! znajdź pan nastrzał — bo nie mogę się schylić. Strzelałem trzy razy. Trzecia kula, wierzę, że tkwi gdzie w śniegu, ale dwie pierwsze muszą siedzieć".

Jedną kulę Korzan znalazł od razu. Uderzyła w ryj, ale pod tak ostrym kątem, że miękki a tępy jej rdzeń wyrył jedynie głęboką bruzdę i osunął się po kości licowej. Druga była lepsza: rozbiła łopatkę nie naruszając jednak wewnętrznych organów.

Wierny Boj zaniechał już dzika, jeno skomląc z radości skakał wciąż na swego pana i lizał go po rękach zafarbowanym ozorem. Leśniczy z rozrzewnieniem ucałował w czoło dzielnego psiaka - wybawcę.

Ruszyli wszyscy do domu. Gajowy podpierał leśniczego, któremu każdy krok sprawiał ból nieznośny, a Boj pytał wciąż mądremi ślepkami — co się stało z jego panem — bo nigdy jeszcze nie słyszał jego postękiwania, ani nie widział tak niepewnie kroczącego.

Drugi gajowy zaś poszedł z ludźmi upewnić dwa inne padłe dziki, w ten sposób, że po oczyszczeniu, podciągnęli je na powrozach tak wysoko na gałęzie drzew, żeby wilki ich nie mogły dosięgnąć, trzeciego zaś powleczono po sypkim śniegu.

Leśniczy musiał się położyć do łóżka, wobec silnej gorączki. Gajowy mimo protestów chorego wystarał się o konie i ledwie drugiego dnia wieczorem sprowadził lekarza.

Boj nie ruszał się na krok od pana. Nie jadł nic, jeno siedział przy łóżku na borsuczej skórze i nie spuszczał z chorego rozmiłowanych oczu. Aż przyszło mu na myśl, zabawić pana tak, jak się zwykle bawili — zapałkami. Ponieważ leśny w gorączce nie palił, zapałek na podłodze nie było. Przypadkiem jedna znalazła się pod piecem. Boj ją wziął w zęby i położył panu na łóżku obok ręki. Żadnego skutku! Wziął ją z kołdry i położył jeszcze bliżej ręki — — i znowu nic! Jeszcze raz ujął zapałkę zębami, i spuścił wprost na rękę. Dopiero teraz zauważył chory intencję psiny — uśmiechnął się i rzucił zapałkę na podłogę. Ku uciesze psa i rozrzewnieniu pana, zabawa trwała póty, póki z rozgryzionej zapałki nie pozostał mały wióreczek, a przed domem nie zadzwoniły sanki. Boj rzucił się ze szczekaniem ku drzwiom. Na progu stanął w towarzystwie gajowego — obwodowy lekarz, ogólnie lubiany za miłe obejście się z chorymi. Mówiono o nim, że jego dowcipy lepiej skutkują, niż lekarstwa. Wiadomo, że wśród ubogich ludzi — człowiek dobry — nie utyje. Toteż doktora żywiła jedynie rządowa pensja. Prywatna praktyka — choć szeroka — nic mu nie przynosiła — przeciwnie — kosztowała go nieraz. A gdy mu chciano płacić, mawiał zwykle: „poczekajcie — przyjacielu — aż się tego więcej uzbiera".

„Skaranie boskie!" — huknął już na progu — „chłop jak dąb i w betach się wyleguje!" Lecz widząc rozpaloną twarz leśnego, zaprzestał żartów, zrzucił barani kożuch, rozgrzał ręce i przystąpił do badania, podczas gdy leśny opowiadał mu o wypadku z dzikiem.

„Zdaje się, że szelma złamał mi żebro. I jeślim uniknął większego poturbowania, a może nawet śmierci — to jest zasługą jedynie tego wiernego i odważnego psiaka" — i to mówiąc, gładził po głowie poczciwego Boja.

Diagnoza potwierdziła w zupełności przypuszczenie leśniczego. Piąte żebro było złamane — na szczęście bez obrażenia płuc. Inne dwa żebra zaszedłszy na siebie, ścisnęły tak silnie mięśnie, że powstała bolesna opuchlizna. O ile nie będzie powikłań z opłucną, za cztery tygodnie powinno być zupełnie dobrze. Lekarz przypisał jeszcze sposób leczenia, zalecił zupełny spokój, obiecał zawiadomić oficjalnie urząd leśny, wypił szklankę herbaty, popieścił Boja i pożegnał chorego. Z sani już odezwał się do żony gajowego: „Pilnujcież go starannie, sam tu biedaczysko sterczy, jak ten dąbek w szczerem

polu!" — „Robię, co mogę — panie doktorze! Najlepiejby jednak nasz pan zrobił, żeby się ożenił. Ale cóż? kiedy ani słuchać o tem nie chce!"

„Ma chłop świętą rację!" — zaśmiał się doktor i odjechał.

III.

Zima miała się ku końcowi. Mróz wprawdzie trzymał jeszcze, lecz w powietrzu czuć było niedaleką wiosnę, poprzedzaną ciepłemi podmuchami od południa. Zaś w dolinach czerniały miejscami orne smugi, brudna woda śniegowa szkliła się w najmniejszem zagłębieniu gruntu. I krok za krokiem pięła się wiosna w góry. Pierwsze zaczerniały stare dęby, potem wkoło nich wyjrzała z pod śniegu czarna ziemia. Ciemne plamy na białym całunie jęły się rozszerzać, mnożyć, aż zlały się w jedno ciemne morze — przetykane coraz gęściej zielonemi nitkami traw.

W górach zima trzymała się jeszcze mocno. Leśny Jaworski, powrócił już zupełnie do zdrowia. W swoim Boju rozkochał się do dziwactwa. Kroku bez niego nie zrobił, każdym kęsem musiał się z nim podzielić. — W nocy spadł śnieg, a że nad ranem się wypogodziło — ponowa była cudowna. Jaworski, jak zwykle, wyszedł z Bojem na obchód. Dziś postanowił zajrzeć do „Rakowskiej Jamy", rewiru dalekiego od manipulacji, dróg i ludzi, porosłego starym bukowym i klonowym lasem. Boj radośnie go obskakiwał, ze zwyczaju łapiąc niekiedy wiatr. — Tropów zwierzyny było bardzo mało. Jeleń i sarna ściąga się na zimę w doliny o południowej wystawie, pełnej słodkich wyrostków miękkich drzew. — Wróci wiosna, wrócą i one w góry. Rodzinnej kolebki nie opuszcza z lekkiem sercem ni człowiek, ni zwierz leśny. A trafiają się i takie, co jej nie opuszczają nigdy, ani podczas największej nędzy zimowej. — A powód? Czyżby w swoim rodzaju miłość ojczyzny? Nie wiem. Stwierdzam tylko goły fakt.

C. d. n.



Mozajka Dzicza

ADAM BIELSKI

„WUJKO"

Od kilku lat polowania nasze w Rychcicach, w rewirach Gajewskich, odbywały się pod hasłem „Wujko". Był to bardzo gruby odyniec, ochrzczony tak przez miejscową straż leśną, a nazwa ta przyjęła się u nas i u naszych stałych gości na tychże polowaniach. „Wujko" był jednak dla nas jakby mitycznym zwierzem, gdyż nikt z myśliwych nigdy go nie widział, a tylko opowiadania starego tropiciela i tropy na śniegu dawały nam wyobrażenie jego wielkości. Przez kilka też lat, stary ten mieszkaniec lasów gajewskich wykpiwał się psom i naganiaczom, tak, że chęć uzyskania przepięknej tej zdobyczy myśliwskiej wzrastała w nas z każdym rokiem.

Raz wreszcie, dwa lata temu w zimie, miało nastąpić spotkanie z tym doświadczonym władcą dziczego rodu, Przyjechałem z bratem na dwudniowe polowanie. Wzięliśmy psa i kilkunastu naganiaczy, którzy, otrzymawszy dokładne instrukcje, jak się mają zachowywać, zostali rozstawieni na szerokim gościńcu, przy którym rozpoczyna się miot „Malinik", my zaś z bratem, wylosowawszy stanowiska, stanęliśmy na szerokiej linji, za którą jest podniosły las. Ja wylosowałem pewne zupełnie dzicze stanowisko na rogu linji i dość szerokiego prywatnego gościńca.

Miot trwał długo, a że pies nie był właściwie dzikarzem, więc żaden z dwu leżących w tym miocie dzików, (z których jeden był „Wujko") nie wyszedł. Natomiast praktykant leśny oświadczył nam, że oba grube dziki wyszły z miotu przez gościniec do rządowego lasu i oba tropy są tam widoczne.

Pojechaliśmy z bratem saniami na miejsce, by oglądnąć tropy. Okazało się, że tylko jeden dzik przeszedł i to mniejszy. Zajechałem więc napowrót na swoje stanowisko, a brat mój poszedł do miotu. Po pewnym czasie, idąc za tropem „Wujka", wyszedł na linję o 40 kroków odemnie. „Wujko" więc pod naszą nieobecność na stanowiskach, przeszedł, jak tropy wskazywały, spokojnie przez linję do podniosłego lasu, z którego znów przez ów prywatny gościniec wszedł do gąszczów sąsiedniego miotu. Mógłbym go więc z niezwykłą łatwością strzelać 3 albo 4 razy, zanimby wpadł w gąszcze.

Od tego czasu był zawsze uchwytny, gdy nas nie było, a skoro polowanie miało się odbyć, uchodził za granicę, przyczem zostawiał innych członków swego rodu, których mieliśmy zawsze na rozkładach. Tego roku w lecie, nareszcie danem mi było spotkać się z „Wujkiem" w okolicznościach nadspodziewanych. Będąc dodnia w lesie na podchodzie rogacza, szedłem linją w innym zgoła rewirze, ale sąsiednim „Malinikowi" i nagle zobaczyłem, jak mi się we mgle rannej z początku zdawało, ciemną

krowę idącą przez linję. W tej chwili chwyciłem za szkła i zobaczyłem „Wujka" wolno idącego na jakieś 140 kroków odemnie. Niestety nie zdążyłem strzelić, a o losie jego zgoła inaczej św. Hubert postanowił. Dwa tygodnie później, pod moją nieobecność w Rychcicach, kula kłusownika przerwała pasmo życia tego „praojca" gajewskich dzików.

Wiadomość ta uderzyła w nas jak grom. Po długich dochodzeniach udało się nam wydostać jedną szablę, odrąbaną w miejscu, gdzie ze szczęki wyrasta. Wielkość jej odpowiada zupełnie snutej w naszej wyobraźni wielkości „Wujka", a także jego okazałości cielesnej, którą w dwa tygodnie przed śmiercią, na oko oceniłem.

Znikł więc „Wujko" z naszych terenów łowieckich, a jako jedyna pamiątka po tym niegdyś istniejącym kolosie, którego drugiej edycji nie prędko się doczekamy, będzie kawałek odrębanej szabli, ułomek zbeszczeszczonego przez łowieckiego świętokradcę **rekordowego** łupu myśliwskiego.

Wymiary tego kawałka szabli są:

Długość do miejsca **skąd wychodzi ze szczęki, przyczem sam koniec jest odłamany** = 12,4 cm.

Szerokość w tem miejscu, a więc z powodu odłamania **nie w najszerszem** = 3,7 cm.

obwód w tem miejscu = 8,5 cm.

Tem większa szkoda tych szabel, że byłyby one w Polsce, jeżeli nie rekordem zwłaszcza co do grubości, to w każdym razie należałyby do najlepszych.

Zniknął potentat naszych lasów, ale żyć będzie w pamięci u nas, dla których był szczytem marzeń i osnową łowieckich dyskusyj, prawdziwym nauczycielem w prowadzeniu polowania, dzięki swojej przemyślności, a zdobycie przepięknych szabel którego, byłoby przez nas uważane jako maksimum łaski św. Huberta.

W ostatniej chwili dowiadujemy się od Sz. Korespondenta, że udało Mu się wynaleźć drugą część odrąbanej szabli, która po złożeniu wykazuje długość 30,5 cm, przyczem conajmniej dwa cm brakuje z powodu odłupania końca szabli, a szerokość pełnych 3,8 cm. Waga szabli w stanie naturalnym 13 dkg.



†

Śp. Ludwik Aleksander Rayski

st. powiatowy lekarz - wet. i major rez., członek M. T. Ł. i b. delegat na powiat kołomyjski, założyciel i członek Koła rybackiego, członek Wydziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego przy Oddz. Tow. Czarnohorskiego w Kołomyi — zmarł we Lwowie, w 47 roku życia.

Znikają gwiazdy świata myśliwskiego, jak na ekranie i w kalejdoskopie ziemskiego żywota. Raz po raz dusze krzyształowe odchodzą na zawsze w zaświaty, pozostawiając żal niewypowiedziany, który pozostaje u tych, co mieli sposobność zetknąć się z niemi. Znikają i nie wracają, zostawiając po sobie pamięć, zda się nie do zapomnienia. Zbyt często w ostatnich miesiącach św. Hubert powołuje do swoich szeregów niebieskich, ziemskich myśliwych, snać, że i tam są mu potrzebni...

I tak znowu mogiła świeżo usypana, przykryła na wieki serce gorące, co pałało jak wulkan i kochało Piękno w Przyrodzie. Świeży kurhan nakrył jednego z pionierów z pod zielonego sztandaru św. Huberta, ś.p. Ludwika Rayskiego.

Ś. p. Ludwik Rayski, to genjusz i pionier myślistwa polskiego i gór polskich na Kresach.

Człowiek czynny, serca nie dzisiejszej doby, członek prawy i urzędnik, który łączył obowiązki z obywatelem Polaka. Wiecznie czynny dla drugich, żyjąc wprost dla drugich. Widział wszystko dobre a niczego złego i dlatego był lubiany z tej strony.

Ukochał góry i zwierzynę i ryby. Pracował w towarzystwach, pracował w biurze i zdawało się, że ten Człowiek jest żelazny.

Niestety! Tylko się zdawało... Pękła nić nadwątlonego serca i zgasł przed czasem, jak lampa lub świeca niedopalona.

Opuścił posterunek niespodziewanie wtedy, gdy najwięcej był nam potrzebny, poszedł po wieczną zapłatę, po „virtuti militari" od św. Huberta za swój dobrze spełniany obowiązek, za swoją miłość ku ludziom, zwierzynie, za swój zapał na wyżyny... do gór.

Ukochał wszystko sercem i duszą i dużo serca i duszy wkładał w wiarę w ludzi i ukochał to, co było Piękne w Matce - Przyrodzie.

Rzucając tę skromną wiązankę kwiecia jesiennego, jedną mam prośbę, byś z góry patrzył na nas, byśmy byli pewni, że z nami pracujesz i z nami polujesz, a lżej będzie na duszy, gdyż osierociłeś nie tylko żonę, dzieci, ale i nas nemrodów przedwojennych, tych co w polowa-

niach i pogawędkach widzą prawdziwy czar lasu rzuconego na paletkę zbolałego serca.

Śpij i śnij drogi Łowco polski o obławie dziczej w Iwanowcach, a szelest liści przedwczesnej jesieni polskiej niech kołysze Twą Piękną duszę do snu wiecznego.

Kołomyja, 10 września 1930.

Stanisław Haleniak



Narodowe zawody strzeleckie we Lwowie

W dniach 30 sierpnia do 6 września r. b.

Zawody Narodowe w strzelaniu myśliwskiem do rzutków i ruchomego jelenia odbyły się w dniach 31 sierpnia oraz 1, 2 i 3 września r. b.

W dniu 1 września, o godz. 10 rano rozpoczęto strzelanie o nagrodę Targów Wschodnich (srebrny puhar przechodni). Warunki — 50 rzutków, 4 serje po 10 z odległości 15 m i 10 z odległości 20 m, naboje krajowe, zwycięzca otrzymuje minjaturkę puharu, nagroda zaś przechodzi na własność po trzykrotnem zdobyciu. (Nagrodę tę w zeszłym roku zdobył p. Tadeusz Barański).

Wynik: 1. Karol Zieleniewski, 43/50,
2. Józef Kiszkurno, 41/50,
3. Stanisław Czerski, 39/50.

Po krótkiej przerwie rozpoczęto strzelanie o mistrzostwo Lwowa do 100 rzutków.

Wynik: 1. Józef Kiszkurno, 91/100 tal. — tytuł mistrza Lwowa i fut. skórz. do dub., fund. M. T. Ł.
2. Stanisław Czerski 89/100 — żeton.
3. Tadeusz Barański 85/100 — żeton.
4. Eustachy Barański 80/100 — żeton.
5. Karol Zieleniewski 79/100 — żeton.
6. Czesław Lisowski 76/100 — żeton.

W dniu 2 września rozegrano nagrodę o mistrzostwo Małopolski. Warunki: największa ilość trafionych w ciągu dwu dni, biorąc pod uwagę i rzutki strzelane o mistrzostwo Lwowa z dnia poprzedniego, czyli z dwustu rzutków.

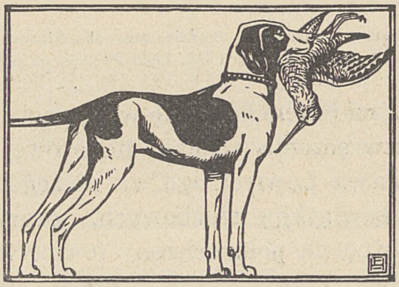
Wynik: 1. Józef Kiszkurno — 185/200 tal. — tytuł mistrza Małopolski, zegar z myśliwcem, fund. Tow. Łow. w Sanoku.
2. Stanisław Czerski 177/200 — żeton.
3. Tadeusz Barański 174/200 — żeton.
4. Karol Zieleniewski 169/200 — żeton.
5. Eustachy Barański 166/200 — żeton.
6. Wacław Goliszewski 164/200 — żeton.

W dniu 3 września rozegrano nagrodę mistrzostwa Polski. Warunki: największa ilość trafionych w ciągu trzech dni, biorąc pod uwagę rzutki strzelane o mistrzostwo Lwowa i Małopolski z dwóch poprzednich dni, czyli z liczby trzystu rzutków.

Tytuł mistrza Polski na rok 1930 zdobywa **p. Józef Kiszkurno,** rozbijając na 300 rzutków, 279. Otrzymuje nagrodę: podstawę do piór, fund. ministra spraw zagran. A. Zaleskiego i postument fund. Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

2 miejsce zajął p. T. Barański — 266/300 tal. — żeton.
3. St. Czerski — 265/300 — żeton.
4. W. Goliszewski — 247/300 — żeton.
6. Cz. Lisowski — —217/300 — żeton.

Wyniki strzelań myśliwskich do jelenia, jak się dowiadujemy, jeszcze nie ogłoszone z powodu założonych protestów. Podamy je po rozstrzygnięciu.



Za zasługi na polu kultury łowieckiej



Siedzą w pierwszym rzędzie: w środku Starosta Powiatowy w Skałacie Antoni Glanowski, na prawo od niego Delegaci M. T. Ł. Aleksander hr. Zaleski i inż. Leon Prelicz, na lewo Kazimierz Grocholski i Jerzy Fedorowicz. W drugim rzędzie stoją odznaczeni.

Dnia 29 lipca b. r. odbyła się w Starostwie skałackiem uroczystość wręczenia odznaki honorowej Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, za szczególnie sumienne spełnianie obowiązków służbowych, oraz za sumienną i dzielną służbę na polu ochrony łowiectwa, następującym funkcjonarjuszom Policji Państw. i służby leśnej:

1) Kowalowi Michałowi, starszemu przodownikowi, Komendantowi P. P. w Grzymałowie;

2) Murawskiemu Antoniemu, starszemu posterunk.;

3) Lipskiemu Józefowi, starszemu posterunkowemu;

4) Wierzbickiemu Kazimierzowi, posterunkowemu;

5) Gefrererowi Jakóbowi, posterunkowemu, (wszystkim z posterunku P. P. w Grzymałowie); — oraz:

6) Kostelnickiemu Franciszkowi, leśniczemu i zarządcy lasu w Ostapiu;

7) Firucie Mikołajowi, gajowemu w Ostapiu;

8) Dobrowolskiemu Pawłowi, gajowemu w Ostapiu.

W uroczystości tej wzięli udział: p. Starosta Glanowski na czele urzędników starostwa, Delegaci powiatowi Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Aleksander hr. Zaleski, Kazimierz Grocholski i inż. Leon Prelicz, Komendant powiatowy Policji Państwowej z licznem gronem funkcjonarjuszy P. P. i wielu innych.

Na wstępie Delegat Pol. Związku Stow. Łow. i Małop. Tow. Łow. p. Aleksander hr. Zaleski wygłosił podniosłe przemówienie do odznaczonych, w którem dziękując im w imieniu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego za szczególne zasługi na polu ochrony łowiectwa i tępienia kłusownictwa, przedstawił znaczenie łowiectwa i racjonalnej hodowli zwierzyny dla gospodarki narodowej. — Wreszcie w przemówieniu swojem dziękował hr. Zaleski p. Staroście Glanowskiemu, oraz podwładnym Mu organom, za wielkie zrozumienie i poparcie, okazywane zawsze ze strony Starostwa zamierzeniom Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i jego delegatów, szczególnie przy stosowaniu przepisów ustawy łowieckiej.

Po wręczeniu odznaki honorowej przez p. Aleks. hr. Zaleskiego osobom odznaczonym, p. Starosta Glanowski przemówił do nich, wręczając im dyplomy Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, składając w imieniu Władz gratulacje z powodu zaszczytnego odznaczenia, dał wyraz nadziei, iż tak szczególne wyróżnienie będzie dla nich bodźcem w dalszem gorliwem spełnianiu obowiązków na polu ochrony łowiectwa i tępienia kłusownictwa, zaś dla wszystkich funkcjonarjuszy Policji Państwowej i służby leśnej w powiecie, stanowić będzie godny naśladowania przykład. — W imieniu odznaczonych w krótkich a żołnierskich słowach dziękował p. Komendant posterunku Policji Państw. w Grzymałowie Kowal, zapewniając, że P. P. zawsze gorliwie w miarę sił i możliwości stać będzie na straży łowiectwa i przepisów ustawy łow.

Wspólna fotografja zakończyła tę piękną uroczystość, która na wszystkich wywarła nader miłe wrażenie.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16